

Książki wywrotowe
czy zbójeckie? Marian
Pankowski
(1919-2011).



Marian Pankowski podczas uroczystości wręczania nagrody literackiej w kategorii proza, Gdynia 2008 r., fot. wikipedia.

Florian Śmieja

W latach pięćdziesiątych dowiedziałem się z lektury „Kultury” o Pankowskim. Drukował w niej wiersze i recenzje. Na jej łamach w obronie jednego z moich wczesnych wierszy skrzyżował szpadę z Józefem Łobodowskim. Potem czytałem i publikowałem jego prozę w miesięczniku „Kontynenty”, a następnie widywałem jego teksty w kwartalniku Czesława Bednarczyka „Oficyna Poetów i Malarzy”.

Ponieważ mieszkał w Belgii, bywał w Londynie tylko przelotnie. Zapraszał do Brukseli. Spotkanie na jego terenie doszło do

skutku dopiero w 1974 roku, kiedy jechaliśmy całą rodziną do Polski i akurat w Belgii starsza córka poczuła w boku ostre kłucie i trzeba było szukać szpitala i zatrzymać się na operację w mieście Louvain. Tam stanęliśmy na campingu, a zostawiwszy córkę w szpitalu z trojgiem pozostałych dzieci pojechaliśmy do Brukseli.

Wydawszy kilka zbiorów liryków, Pankowski, zrezygnował z pisania wierszy publikując nagrodzoną przez „Kulturę” uroczą prozę poetycką „Smagła swoboda”. Doceniła tę prozę Maria Danilewiczowa zwąc ją „odosobnioną, nieporównywalną pozycją”, a także, że to „szczupły rozmiarami, ale imponująco dojrzały tom prozy poetyckiej”.

Prywatnie natomiast wyszła powieść „Matuga idzie” objawiająca jego poważne zainteresowanie, jeśli nie obsesję, erotyką. Danilewiczowa konkludując, że „historycy wrócą kiedyś do Pankowskiego”, przywitała książkę odważnie:

Ciekawy jest także „Matuga” i to nie ze względu na pornograficzną aurę, ale jako śmiały eksperyment językowy, krok dalej od Gombrowicza, choć w wyznaczonym przez niego kierunku. Na Emigracji docenił go jeden bodaj Bielatowicz...

Wydawnictwa odrzucały tę książkę, a także garść kontrowersyjnych opowiadań. Pisarzowi patronowali wówczas krnąbrny Michel de Ghelderode i Georges Bataille. Sztukę tego pierwszego Pankowski przełożył na język polski i drukował. To on wprowadził polskiego pisarza w świat diabelski, groteskowy, perwersyjny, świat Breugelowski. Obaj autorzy, wyznał Pankowski, przekazali mu

w formie artystycznej bezwzględną i całkowitą wiedzę o współczesnym człowieku „zdolnym do wszystkiego”.

Wtedy napisał dziesięć sztuk eksperymentalnych i cztery w języku francuskim. Wybrał własną drogę. Tadeusz Nowakowski zauważył jego „luzakowanie”, niezgodę na chodzenie w jakiegokolwiek obroży: nie chciał „współpłasać w grobowcu...”. Nie bez powodu zajął się twórczością Leśmiana, człowieka, który jego słowami

wybijał się ze zbiorowości, szukał dla siebie wyjątkowego miejsca, rościł sobie wyjątkowe prawa.

To aluzja do tematu dysertacji doktorskiej Pankowskiego.

Kiedy zaczął drukować w londyńskiej „Oficynie Poetów i Malarzy”, stał się, jak napisał, „uczestnikiem wielkiej przygody”. Wdzięczność swoją wyraził w pięknym hołdzie zamieszczonym w katalogu z okazji wystaw w Polsce w 1990 roku.

Niezależnej Oficynie Poetów i Malarzy zawdzięczam druk moich książek wywrotowych, gdyż nie przylegających do tradycyjnego kanonu tekstów odrzuconych uprzednio przez wydawnictwa emigracyjne i krajowe. Oficyna Poetów była wtenczas jedynym domem wydawniczym wolnym od cenzury. Szczycę się tym, że moje prace poświęcone polskiej literaturze współczesnej, że moja proza i teatr są i pozostaną integralną częścią dorobku Polaków na obczyźnie, skupionych wokół niezależnego słowa Oficyny.

Willa Pankowskiego, położona w spokojnym zaułku Brukseli, była urocza, gospodarz delikatny i pełen uwagi, dystyngowany, bardziej miękki niż wyglądał na fotografii. Osiągnął swoje gody po trudnej młodości, ponieważ, po zawodach i nieszczęściach doczekał się jakiegoś zadowalającego układu ze światem i życiem. Wnętrze domu uznałem za architektonicznie kapitalne, gustownie urządzone, krzesła i fotele były skórzane, meble teakowe, a ściany zdobiły oryginalne obrazy. Żona była w Paryżu, zastaliśmy tylko córkę.

Teatr Pankowskiego zaczął w końcu docierać do widza. Wystawiono jego sztukę w podmiejskim teatrze paryskim, a potem przywieziono ją na kilka dni do Brukseli. W Genewie teatr miejski dał 12 przedstawień innej jego sztuki, „Król Ludwik”.

Poezji dał spokój, bo już mu nie wystarczała forma zapisu lirycznego, była zbyt ograniczona, nie potrafiła wyrazić kwestii człowieka, które dojrzały autor dostrzegał i pragnął ubrać w literacki kształt.

Głosił, że pisarz musi sobie wywalczyć czas do pisania. W Brukseli środowe popołudnia poświęcał na włóczenie się po kawiarniach. Czuł potrzebę samotności. Bo jak inaczej mógł być zarówno pisarzem, profesorem, naukowcem, mężem i ojcem rodziny?

Zapamiętałem w jego domu manekin kobiety, a na gzymsie jednego z pokoi, bodaj salonu, figurkę drwala z piłą. Zachowywał się jak rzeźba kinetyczna, a kiwając się symulował piłowanie kantu. Praktyczni Flamandczycy puszczali go ponoć w ruch, kiedy gość nudził... Miałem się na baczności.

Pankowski marzył o docieraniu do polskiego czytelnika w kraju.

Każdy pisarz polski żyjący na obczyźnie marzy o wejściu na rynek krajowy. Brama to jednak ciasna i przejście prowadzi przez biuro ministerstwa spraw zagranicznych, a opłata za to szczęście – wygórowana. Są to jednak problemy, które pisarz emigracyjny musi rozpatrywać w świetle własnych, jemu tylko znanych okoliczności.

W 1975 roku pojechał na „Warszawską Jesień Poezji”. Bardzo zadowolony doniósł wtedy:

Spotkania autorskie były dla mnie wielkim odkryciem! To, o czym myślałem z ironią i obawą, okazało się cenną konfrontacją z żywymi czytelnikami.

Od tego czasu datuje się stała jego współpraca z redakcjami, wydawnictwami i teatrami w Polsce. Powstały nowe książki i sztuki. Ich autora dwukrotnie nominowano do nagrody „Nike”. Teatry zaczęły wystawiać jego sztuki. Pamiętam, jak we Wrocławiu trafiłem na jego „Chrabąszcze”. W 1998 roku otrzymał Honorowe Obywatelstwo rodzinnego miasta Sanoka.

Dokonania Pankowskiego pokazują niewtórna osobowość, głos oryginalny, wybitny sens języka. On sam w rozmowie wyznał, że

chce

Pisać tak, żeby język mych tekstów był rozpoznawalny, żeby nie zółkł razem z kalendarzem, ale został jak żywica.

Po krótkiej więc inkursji we francuszczyznę znalazł swoje forte w drażeniu języka polskiego.

Teksty jego przyjmowano różnie. Tomasz Wolańczyk zauważył, że wywołują one „Niechęć albo podziw, ale najczęściej zamieszanie i trochę strachu...”.

Wydawca jego pism Czesław Bednarczyk, rozpoznał w nim zjawisko w literaturze polskiej wyjątkowe. Napisał otwarcie i jasno:

Pankowski zajął się głównie marginesem społecznym, który zawsze był, jest i będzie. Blaski, jasność, bohaterstwo, poświęcenie, nawet miłość odsuwa na bok lub świadomie przemilcza. Pokazuje nam brutalną, nagą prawdę. Pożyteczna to, moim zdaniem i wielce ciekawa twórczość i kto wie, czy nie lepiej może wpływać na wychowanie niż tzw. dobro fałszowane? Dla szerokich mas jednak nie jest to sztuka budująca, zrozumiała, krzepiąca. Dla ogółu jest

literaturą złą. Świat potrzebuje „narkomanii dobra” mimo, że siedzi po uszy w zgniliźnie. Książki jego nie zabłądzą pod strzechy.

Pankowski bronił swoich wizji jako świadek innej rzeczywistości:

...z ludzkich ciemności idą na nas wciąż nowe postacie z liściem piołunu na ustach za cały los.

Konstanty A. Jeleński widział w negliżowaniu pisarza przez krytykę emigracyjną i krajową „Zatajony podziemny polski erotyzm, który nie chciał wywlekania wszystkiego na światło dzienne”. Sam autor „Matugi” napomknął w liście do mnie, że nie chce „narzucać się z tekstem, którego czytanie wymaga pewnego dystansu wobec mieszczańskości w nas i poza nami”. Gdzie indziej wyjaśniał, że będąc wśród Flamandczyków przejął ich plebejską szczerość wobec cielesności.

W londyńskim miesięczniku „Kontynenty” przeprowadziliśmy ongiś panelową dyskusję zatytułowaną „Rozmowa o pornografii, erotyzmie i prozie Pankowskiego”. Zbigniew Grabowski o książce „Matuga idzie” wyraził się nie bez pewnej chyba zazdrości, że „Jest to książka jurna, zawieszista i książeczka poety” konkludując, że „Matuga nie dochodzi... atakuje tabu, ale nie

bulwersuje czytelnika, wyczerpuje się w żakowskich trochę figlach i popisach”. Lecz jeżeli Pankowski przegrywa u niego do Witkacego i Joyce’a, to nie ma się czego wstydzić.

„W sztuce jestem za swobodą” – deklarował w jednym ze swych wywiadów. Chce by go broniły teksty same, lecz wyznaje, że istotnie wybiera sobie osobliwych protagonistów swojej prozy i dramatu. Jest nim zazwyczaj człowiek żyjący „na marginesie”, odtrącony, np. starzejący się emigrant, albo ktoś wykolejony, żyjący za granicą pod innym nazwiskiem. Człowiek wyobcowany, „goszysta”, zagubiony we własnych sprzecznościach, skłonny do odruchów anarchicznych. A to wszystko, bowiem, jak zaręczał Marian Pankowski, Professeur Honoraire de l’Université Libre de Bruxelles

...wyrażając agresywność i aspołeczność takich ludzi, takich postaw, chcę się przekonać, że jestem po stronie równowagi i ładu.

Pankowski zawsze miał ambicje, by udowodnić sobie i innym, że ubogi chłopiec z Sanoka może się dorobić czegoś w świecie. Cudem przeżywszy obozy koncentracyjne, zostawszy profesorem na zagranicznym uniwersytecie, zaspokoił głód uznania. Międzynarodowe sympozjum roztrząsało jego bogaty dorobek. W Polsce zdobywa sobie zwolenników konsekwentnym

odkrywaniem obszarów w literaturze polskiej pomijanych, przemilczanych, spychanych na margines. Uczulony na krzywdę i momenty poniżenia, nie zapomina o losie innych, wszak sam siebie również za takiego uważał. Atakowany, bronił się posiadaniem wątpliwości, które go trapiły, dodając przekornie, że gdyby ich nie było, ziemia byłaby nadal płaska. Myślenie inaczej wyzwala, choć wciąż płaci się za nie wysoką cenę. W Warszawie jakiś czas temu otwarto muzeum erotyki. Coraz więcej książek Pankowskiego ukazywało się w Polsce, autor jeździł i udzielał wywiadów, w google'u mnożyły się reklamy. Ale jeżeli pisarz miał swobodę, by szokować, ośmieszać i kpić z bogoojczyźnianych ekscesów i religianctwa niskiego lotu, to czytelnik pozostał nadal raczej oszołomiony i nieufny. Nie przystaje pochwycić na zmienianie oblicza polskiej kultury. Także ceni sobie swoje wątpliwości i może nie podzielać jego smaku i preferencji.

Marian Pankowski na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/marian-pankowski-1919-2011/>

Popatrz w swoją twarz w lustrze

Rozmowa dr Kazimierzem Szałatą - filozofem, wykładowcą na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, prezesem Fundacji Polskiej Raoula Follereau współfundatorem Międzynarodowej Unii Follereau zajmującej się pomocą trędowatym i biednym.



Dr Kazimierz Szałata z panią minister zdrowia Republiki Wybrzeża Kości Słoniowej – Raymonde Goudou Coffie.

Barbara Gruszka-Zych:

Jak to się stało, że Pan filozof - teoretyk zaczął Pan pomagać trędowatym?

Kazimierz Szałata:

Jeżeli filozof ma być głosicielem prawdy, to jest on blisko powołania misyjnego. Jeśli zaś filozofia jest nie tylko wiedzą, ale mądrością, to wbrew pozorom nie jest to nauka czysto teoretyczna. Domaga się od nas pewnej konsekwentnej postawy, mądrość bowiem ma się przejawiać nie tylko przez intelekt, ale także przez wolę. *Na co przydałaby się wiedza, która nie służy*

człowiekowi? – pytał kiedyś Raoul Follereau, który choć tak wielu ludzi uzdrowił, nie był lekarzem – ale filozofem.

Zanim zaangażowałem się w ruch Follereau, stworzyłem w Warszawie na bazie zajęć w Akademii Medycznej i ówczesnej Akademii Teologii Katolickiej Międzyuczelniane Konwersatorium etyki *Medycyna na miarę człowieka*. Któregoś dnia, kiedy siedzieliśmy na zajęciach w ciepłej sali wymyślając wzruszające przykłady etyczne, odkryliśmy, że niedaleko od nas w szalasach nad Wisłą mieszkają biedni uchodźcy rumuńscy. Pomyślałem, że jeżeli im nie pomożemy, nie możemy poważnie traktować tego, co robimy, a tym bardziej nie możemy nazywać siebie przedstawicielami etyki chrześcijańskiej. Bo jak pisał Follereau: *jeżeli są na świecie ludzie, którzy cierpią biedę, trąd, oznacza to, że za mało jest w nas chrześcijaństwa*.

Kiedy pojawiają się pierwsze wzmianki o trędowatych?

To najstarsza z chorób jakie zna ludzkość. Wspominano o nich w pismach egipskich sprzed kilku tysięcy lat. Trędowaci pojawiają się na kartach Ewangelii obok Jezusa. Znamy średniowieczne opisy losu trędowatych. Kiedyś byli wyrzucani na przekłete wyspy, dziś są zapomniani przez świat, choć od 25 lat jest to choroba całkowicie uleczalna.

Może na ich leczenie brakuje pieniędzy?

Zestaw antybiotyków potrzebnych do wyleczenia chorego na trąd kosztuje około 30 zł. Ale na świecie nadal są obszary, gdzie ani leki, ani medycyna nie są dostępne. Trąd jest chorobą podstępną, trudną do wczesnego zdiagnozowania bez niedostępnych w krajach misyjnych specjalistycznych badań. Można być chorym przez 10 lat nie zdając sobie z tego sprawy i zarażać otoczenie. Wywołuje go bakteria z tej samej rodziny co sprawczyni gruźlicy, przenosi się drogą kropelkową, a więc przez bezpośredni kontakt. Kiedy odkrywa się jednego trędowatego, można być pewnym, że w jego otoczeniu na pewno jest kilku kolejnych. Jak mówią misjonarze, na trąd się nie umiera, tylko gnije i powoli kona. Najpierw pojawiają się nieczułe miejsca, potem plamy na skórze, wreszcie odpadają ręce, nogi, nos, uszy, człowiek traci twarz, co jest najstraszniejszym doświadczeniem. To choroba tylko ludzka, dlatego dotąd nie mamy szczepionki, bo nie można przeprowadzać eksperymentów na zwierzętach.

Kto pracuje z trędowatymi?

Od zawsze zajmowali się nimi misjonarze, zakonnice i zakonnicy. Ojciec Damian, Beyzym, Żelazko, Wanda Błęńska, to niezapomniane postacie z historii walki z trądem. Dziś możemy spotkać coraz więcej świeckich. Znam lekarza ze Strasburga, który po uzyskaniu dyplomu wyjechał z żoną na wycieczkę do Afryki. Miał być tam miesiąc, a został 50 lat. Mówił mi, że nie chciał spotkać trędowatych. Ale kiedy trzeba było pomóc

któremuś z nich, zobaczył niesamowitą wolę życia w tym człowieku, i tak odkrył swoje powołanie. W naszych ośrodkach pracują bardzo często ci, którzy kiedyś sami byli chorzy na trąd.

Dokąd trąd był nieuleczalny, zajmujący się chorymi narażali swoje życie.

Dziś chory nikomu nie zagraża. Spotkałem wielu trędowatych, witałem się z nimi, przytulałem dzieci, czego nigdy nie zrobią ich rodzice, bo się boją. Zwykle sam chory przybiera charakterystyczną postawę: stoi jak najmocniej przytulony do ściany, a ręce ma schowane z tyłu, bo wie, że wszyscy się go boją. Niestety, bardzo często, choć jest wyleczony i nie ma ciężkich okaleczeń, nie może wrócić do rodziny, bo już na zawsze pozostanie trędowaty. Ale stan świadomości stale się zmienia, pracują nad tym misjonarze, nauczyciele, a nawet miejscowi czarownicy. Kiedy odkrywają trędowatych, prowadzą ich do lekarza. Kiedy w latach 40-tych Raoul Follereau zaczynał swoją pracę, powiedziano mu, że trędowatych jest na świecie 25 – 30 mln, ale podjął wyzwanie. Zaczął od budowy trzech kaplic w miejscach związanych z Karolem de Foucauld, a potem tworzył wioski, w których trędowaci mogli normalnie żyć, zakładać rodziny. Dziś wioski Follereau można spotkać niemal na całym świecie od Wybrzeża Kości Słoniowej przez Madagaskar, Indie, Wietnam, aż po wyspy dalekiego Pacyfiku.



Dr Kazimierz Szałata w Afryce.

Jednak pozostała nieuleczalna odmiana trądu *ulcère de Buruli*...

To straszna choroba występująca w pasie równikowym, w pobliżu zbiorników wody. Zapadają na nią głównie dzieci. Bakteria *ulcère de Buruli* czyni przerażające spustoszenia – „zjada” skórę chorego, tak że najpierw widać mięśnie, a potem narządy wewnętrzne. Jedyną skuteczną metodą leczenia są amputacje. Znam misjonarkę z naszego ośrodka w Beninie, która jest chirurgiem i zajmuje się chorymi na tę straszną chorobę. Opowiadała mi, że przed południem dokonuje amputacji, po

południu pierze, suszy, prasuje bandaże, bo nie ma więcej środków opatrunkowych. Ojciec Beyzym płynął do trędowatych na Madagaskar kilka miesięcy. Dziś z Beninu do Paryża leci się tylko 6 godzin. Dawniej ta straszna bieda była bardzo daleka. Dziś świat się skurczył i wszystkich powinny peszyć takie opowieści o praniu bandaży.

Kto daje pieniądze na leczenie i opiekę trędowatych?

Mówi się, że ich liczba nie przekracza miliona, dlatego wielkie międzynarodowe organizacje uważają ten problem za marginalny. Tym bardziej, że dotyczy krajów o znikomym znaczeniu politycznym. WHO wielokrotnie już przymierzała się do ogłoszenia świata, że trąd został zlikwidowany. Bo jakie znaczenie w skali globalnej ma pół miliona chorych czy trzy miliony kalek... Trąd, to problem wstydlivy, więc świat o nim zapomniał. Nawet badania naukowe nad nim prowadzi się głównie w oparciu o finansowanie z Fundacji Follereau. By upomnieć się o najbiedniejszych z biednych, nasz założyciel kilkakrotnie objechał kulę ziemską, spotykał się z Papieżem Pawłem VI, apelował do ONZ, ustanowił światowy dzień trędowatych. Dziś jedna trzecia wszystkich trędowatych na świecie pozostaje pod opieką ruchu Follereau. Ich leczenie odbywa się z pieniędzy zebranych w ostatnią niedzielę stycznia od indywidualnych ofiarodawców.

Każdy może walczyć z trądem.

Walka z trądem zaczyna się od walki z naszym egoizmem. Follereau w ostatnich dniach wojny apelował, żeby każde z walczących mocarstw przeznaczyło budżet jednego dnia wojny na ratowanie trędowatych. Zaś w czasie zimnej wojny prosił Rosję i USA, żeby dały mu sumę przeznaczoną na budowę jednego bombowca. Nikt na to nie zareagował. Dziś na Sachelu, w pasie ziem poniżej Sahary, w ciągu ostatnich laty wyschły studnie i rzeki. Rozmawiałem tam z matką siedmiorga dzieci, która codziennie nosi wodę na głowie przemierzając 10 km. Nie śmiałem nawet spytać, czy jej dzieci się myją. Ponieważ wody powierzchniowe wyschły, by wybudować studnię, trzeba często przewiercić się przez ponad 500 metrową skałę. Koszt takiej studni na pustyni sięga 10 tys. euro. A gdy się ją wywierci, zainstaluje rurę, niezbędna jest pompa napędzana silnikiem Diesla, więc do tego dochodzą ceny ropy transportowanej przez pustynię. Jeżeli jednak nie pomożemy Sachelowi, to kilka milionów jego mieszkańców umrze na oczach świata. Wiele zrozumiałem trzymając na rękach, umierające z głodu dziecko z Niamey. Umierało, bo zabrakło mu 20, może 30 gr. dziennie na kawałek chleba, albo garść prosa. Jeżeli będziemy powtarzali: *ich są miliony, a my nie jesteśmy milionerami*, to dalej ludzie będą umierali z głodu, będą skazani na trąd. Raoul Follereau zauważył, że *miliony dobrych chrześcijan codziennie rano czytając gazety, pijąc kawę szczerze wzruszają się tym, że znów*

na świecie miliony umierają z głodu. A potem każdy z nich odkłada gazetę i idzie do swoich spraw. Pomyśl o tym. I, jeśli nic nie robisz, popatrz na swoją twarz w lustrze.

Fotografie pochodzą ze strony Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego z Warszawy:

<http://www.uo.uksw.edu.pl/node/278>

Józef von Eichendorff



Zamek w Toszku.

Andrzej Rumiński

We wrocławskim Parku Szczytnickim, w jego północno-wschodniej części, postawiono w 1911 roku pomnik jednego z najwybitniejszych poetów ziemi Śląskiej, Józefa von Eichendorffa. Na trzystopniowym murowanym, kwadratowym postumencie z dwoma płaskorzeźbami, stała kiedyś naturalnej wielkości postać poety tzw. „wędrujący młodzieniec”.

Twórcą odlanego z brązu pomnika był Alex Kaumann.

Współczesny autor niemiecki pisał w 1994 roku:

(...) władze polskie usuwając pomnik po wojnie w 1945 roku nie wiedziały chyba lub nie chciały pamiętać o tym, że Eichendorff był przychylnie nastawiony do Polaków (znał język polski - A.R.), miał wśród nich wielu przyjaciół aż do swojej śmierci.



■ Pomnik „Wędrujący młodzieniec” z 1911 r.
w Parku Szczytnickim, rys. z „Das Breslau Lexikon”
G. Schauerмана.

Sięgnijmy do encyklopedii by dowiedzieć się czegoś więcej o poecie.

Ur. 10.XI.1788, zm. 26.XI.1857 r. niemiecki poeta i prozaik związany z kręgiem romantyków niemieckich. Był przede wszystkim twórcą wierszy lirycznych (Gedichte 1826, 1837) szeroko znanych i przetrwałych do dziś głównie w postaci pieśni ludowych. Do najbardziej znanych jego dzieł pro-

zatorskich należy nowela „Z życia nicponia” (1826, wyd. pol.-1924). Eichendorff był autorem powieści biograficznej „Ahnung und Gegenwart” (1815), bajek i komedii oraz tłumaczem dzieł Calderona i Cervantesa.

Z innych źródeł dowiadujemy się, iż ród poety wywodził się z Bawarii i stamtąd przybył do Austrii. Ojciec poety w 1875 roku był dziedzicem Łubowic nad Odrą na północ od Raciborza. W tamtejszym barokowym pałacu – zbudowanym przez dziada i ojca – urodził się hrabiemu Adolfowi syn Josepf Freiherr von Eichendorff. Rodzina była bardzo pobożna i dlatego wysłano 13-letniego Józefa wraz z bratem Wilhelmem do katolickiego gimnazjum Św. Mateusza we Wrocławiu. W budynku tym już w okresie ostatnich Piastów mieścił się ośrodek pomocy socjalnej dla chorych będących pod opieką czeskich zakonników z Pragi. Gimnazjum to ukończyło wielu znanych na Śląsku postaci, m.in. historyk kościelny Józef Wittig, Jan Dzierżon – zwany „ojcem pszczół” oraz jako ekstern, znany później działacz polityczny, Ferdinand Lassale.

Po skończeniu gimnazjum w 1805 roku obaj bracia wyjechali na studia prawnicze do Halle i Heidelbergu, poznając tam środowisko poetów romantyków. Po studiach w 1808 roku Józef wyjechał do Paryża, następnie do Wiednia i po powrocie do kraju w lutym 1813 roku wstąpił do armii pruskiej, do ochotniczego

korpusu dowodzonego i zorganizowanego przez majora barona Adolfa Ludwika Lutzowa (1782-1834), działacza patriotycznego, którego korpus odznaczył się w walkach przeciwko Napoleonowi. Korpus rozwiązano w 1814 roku, zaś Eichendorff w rok później już jako oficer powrócił do Paryża, a następnie do kraju.

Po wojnie rozpoczął pracę w administracji pruskiej przenosząc się do różnych miast: Wrocławia, Gdańska, Królewca, Drezna, Berlina. Poznał wielu sławnych ludzi epoki, m.in. kompozytora i pianistę Feliksa Mendelssohna-Bartholdyego (1809-1847), kompozytora i wirtuoza fortepianu Roberta Schumanna (1810-1856) oraz pisarza Karola Holteia (1798-1880), śląskiego dramaturga i polonofila, wielkiego romantyka, autora wystawionej we Wrocławiu 2 III 1826 roku śpiewogry o Tadeuszu Kościuszcze p.t. „Stary wódz” (niem. *Der alte Feldher*). Nastroje we Wrocławiu zwłaszcza młodzieży studenckiej były bardzo przychylne dla wędrujących polskich emigrantów – przyjmowano ich entuzjastycznie jako „rycerzy wolności”, a Kościuszko cieszył się wielkim kultem wśród Niemców. Stąd też sztuka (dramat) Holteia osiągnęła niebywały sukces. Książka o Kościuszcze napisana przez K. Falkensteina wyszła w 1827 r. w Lipsku i w tym samym roku wrocławska oficyna Kornów wydała ją w polskim tłumaczeniu. „Starego wodza”

grywano przy aplauzie patriotycznie wzruszonych i

zapłakanych widzów (...). Była oklaskiwana przez widzów Berlina (tu prapremiera), Lipska, Drezna, Hamburga, Świdnicy, Cieplic, Poznania.

W czasie swego pobytu w Berlinie Eichendorff zakończył pracę publiczną i wraz z żoną Aloisą von Larisch osiedlił się w Nysie, zamieszkując w piętrowym domu (zniszczonym w 1945 r.) przy obecnej ulicy Bartosza Głowackiego. Poświęcił się tu całkowicie pisaniu. Oboje zmarli w tym domu: żona - 3 XII 1855 r., on sam - 26 XI 1857 r. Pochowani są w grobowcu rodzinnym na tzw. cmentarzu jerozolimskim w Nysie przy małym kościółku św. Krzyża położonym przy wylotowej ulicy Mieczysława I, prowadzącej do Otmuchowa. Grób jest zadbany, odwiedzany też często przez niemieckich turystów, którzy czczą pamięć Eichendorffa.

Jego liryczne wiersze są czasem publikowane (niestety w języku niemieckim) w „Schlesisches Wochenblatt - Tygodniku Niemców w Rzeczypospolitej Polskiej”, którego redakcja znajduje się w Opolu. Dotychczas były to m.in. „Pieśń kościelna” - śpiewana na nabożeństwach majowych, „Złamany pierścione” - pieśń ludowa, oraz wiersze „Ten stary ogród”, „Zatajona miłość”, „Wieczór” i kilka innych opiewających krajobraz Śląski, piękno przyrody i folklor.

W głębokiej liryce Eichendorffa słyszeć szum lasu, śpiew

ptaków, szemranie strumieni, powiew wiatru. Poznajmy wiersz pt.: „Wesoły wędrownik” w przekładzie nieznanego tłumacza.

Na kogo Bóg łaskawie spojrzy,
Ten dąży w dal, w szeroki świat,
Ten cuda światów skryte dojrzy,
Gór, lasów, rzek i łąków kwiat.

Leniwcy, co się w domu pierzą,
Nie ujrzą słońca złotych zórz,
W zaduchu chałup nędznie leżą,
Nie znają śpiewu, wina, róż.

Strumyki z gór wesoło skaczą,
Skowronki z śpiewem lecą wzwyż;
Precz troski, co żałośnie kraczą –
Chcę śpiewać – smutki precz, a kysz!

Jedyny Bóg niech nami rządzi,
Co stworzył ten uroczy świat,
On sprawiedliwie mnie osądzi,
Nie wzbroni mi swych łask – bom chwat!

Fragment pięknego wiersza „O doliny dalekie, o góry!” został wykuty na 3-metrowym, granitowym głazie-pomniku ustawionym w 1911 roku u szczytu Kobel-Bergu ob. Kobylicy – (392 m. n.p.m.) przy starym kamieniołomie. Powstał on dzięki staraniom prof. Alfonsa Nowacka, historyka-regionalisty oraz wspierających

jego działania mieszkańców Prudnika.



Pomnik Józefa Eichendorffa w Parku Szczytnickim.

Po II wojnie światowej zerwano brązowy medalion z popiersiem poety i skuto znajdujące się na odwrocie słowa jego utworu. W 1991 roku władze Prudnika i mniejszość niemiecka przywróciły wygląd pomnika do stanu sprzed wojny. Znów możemy przeczytać stary tekst (tłum. K. R. Mazurski):

Doliny w dali, wzniesienia,

O piękny, zielony lesie!

Ty radości ma skupienia,

Co i troski wzniosłe niesie.

Pomnik stoi ok. 1 km od wsi Dębowiec. Prowadzi tędy czerwony szlak turystyczny z Prudnika do Głuchołaz.

* * *

W 1995 r. Towarzystwo Społeczno Kulturalne Niemców w Nysie rozpoczęło przygotowania do ponownego odsłonięcia popiersia Eichendorffa w pobliżu domu w którym mieszkał i zmarł. Do pomocy włączyli się naukowcy, poeci i plastycy, a głównie Georg Latton z Krzyżanowic. Chodziło o to, by uroczystość była godna miana wielkiego twórcy; aby społeczność, która przybywała po wojnie do jednej z kolebek kultury Śląskiej, zaakceptowała „kawałek dawnej historii Nysy”, z której imieniem wiąże się Joseph Freiherr von Eichendorff. Georg Latton trzeci raz rekonstruował podobiznę Eichendorffa. Pierwszą kopię wykonał dla

Łubowic, drugą dla Raciborza, potem powstała trzecia – nyska realizacja. Po wojnie nyskie popiersie von Eichendorffa znalazło schronienie w kościele św. św. Jakuba i Agnieszki. Jest to jedna z kopii pierwotnego dzieła, które wędrowało po różnych miejscach Śląska, między innymi była w Rudach Wielkich. Z owej kopii Georg Latton sporządził kolejną replikę z utwardzonego gipsu, z której odlano teraz spiżowe popiersie. Na szczęście ocalał pod ziemią cokół po nyskim pomniku, co umożliwiło ustawienie całości na poprzednim miejscu. (...)



Zamek w Toszku. Płyta poświęcona Józefowi Eichendorffowi.

Przypuszczać można, że żyją jeszcze potomkowie Eichendorffa, ponieważ jego prawnuczka urodzona 9 II 1896 roku w Świdnicy

miała 12-ro dzieci. Na chrzcie który odbył się w kościele klasztornym św. Józefa dano jej imiona Elżbieta, Józefina, Ida, Maria. Była ona najstarszą córką generał-lejtnanta Hartwiga von Eichendorffa. Dziecinne lata wraz z rodzeństwem spędziła w Kłodzku, później została kwalifikowaną pielęgniarką. W czasie I wojny światowej pracowała w organizacji Czerwonego Krzyża niosąc pomoc rannym. W 1921 roku wyszła za mąż za księcia Oskara Strachwica, Śląskiego magnata ziemskiego mającego swój zamek w Psarach Wrocławskich (niem. Hunern) oraz majątek we wsi Gać Wrocławska (niem. Heidau). Jej najstarszy syn zginął w 1943 roku na froncie wschodnim w Rosji. W 1946 roku cała rodzina (wraz z mieszkańcami wiosek i majątków) została wysiedlona do Niemiec. Nowy dom założyli w Westfalii, w miejscowości Ense-Bremen. Mąż hrabiny Oskar zmarł w 1951 roku.

Ona sama zajęła się niezwykle aktywnie pracą w organizacji charytatywnej im. św. Jadwigi jako referentka do spraw kobiet. Zmarła 13 września 1976 r. i jest pochowana na cmentarzu obok grobu męża w Ense-Bremen. Wspomnienie o niej pt.: „Pamięci wielkiej Śląskiej kobiety, hrabiny Elizabeth Strachwic” zostało napisane z okazji jej 100. rocznicy urodzin.

Magistrat Wrocławia poza wystawieniem pomnika Eichendorffa w 1911 r. nazwał również ulice i place jego imieniem. Były to: Eichendorff-plan, dziś Skwer Obrońców Helu, Eichendorffplatz,

dziś pl. M. Anielewicza, Eichendorffstr., dziś ul. Sokola. Również inne wymienione tu postacie miały swoje ulice we Wrocławiu: dwie Holteistrasse, to dzisiejsze ulice Prosta i Darwina, Holteihöhe – to dzisiejsze Wzgórze Polskie (nazwa nieurzędowa) opodal Panoramy Racławickiej; nazwa niemiecka wprowadzona w związku z odsłonięciem pomnika von Holteia w 1882 r. Schubertstrasse to obecna ul. Elsnera. Liitzowstrasse to dziś Miernicza, Lutzowweg, dziś ul. Końcowa. W Opolu były ulice Eichendorffa i Holteia, w Bytomiu – Eichendorffa, Holteia i Schuberta, w Wałbrzychu – plac i ulica Lutzowa oraz ulica Schuberta.

Kończąc, poznajmy jeszcze wiersz pt.: „Pożegnanie” w przekładzie Stefana Napierskiego.

Wąwozy i kotliny, zielono-mgławcy bór,

O, rdzawe jarzębiny, jak zamyślony chór !

Świat, wiecznie zadurzony, miele wśród wartkich kół.

Obym twój strop zielony nad senną skronią czuł.

Gdy szaro wokół dnieje, gleba paruje w krąg,

Ptak nuci poprzez knieję i rosa lśni wśród łąk:

Niech pierzcha w błędne kraje pradawny, ziemski żal,

Rusałka zmartwychwstaje, jak blask porannych fal !

Porzucę wkrótce ciebie, tam, gdzie się kończy jar,

Na obcym śledzić niebie widowisk mętnych czar.

O, żegnaj mi, dolino, twój liść i mrok i mech,

Samotne dni popłyną, gdy leśny zamrze dech.

Podczas wędrówek po Jurze Krakowsko-Częstochowskiej w czerwcu 2006 roku natknąłem się na tablicę pamiątkową na zamku w Toszku poświęconą Eichendorffowi.



Grób Józefa Eichendorffa.

Właścicielem zamku w końcu XVIII wieku był baron Adolph von Eichendorff, ojciec Józefa. Poeta spędził na zamku w Toszku dzieciństwo i młodość. Inny niemiecki poeta Johann Wolfgang von Goethe był gościem na zamku toszeckim 3 września 1790 roku, o czym pisał chwając zamkową gościnność. Również Goethe ma tu swoją tablicę pamiątkową. Ostatnie lata świetności zamku należały do rodu von Gaschin. W 1811 roku straszliwy pożar zniszczył zamek.

Dzisiaj ta stara budowla jak niegdyś góruje nad miastem, kusząc turystów swą unikalną gotycką bryłą. Odnowione wnętrza zamkowe są miejscem licznych wydarzeń kulturalnych, spotkań

biznesowych, koncertów i wystaw.

Fotografie: Andrzej Rumiński

Pasjonatka

Rozmowa z aktorką, pisarką, malarką... etc. - Barbarą Rybałtowską.



Barbara Rybałtowska, fot. TVP.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Pani zainteresowania są niezmiernie bogate. Jest pani pisarką, malarką, występuje pani na scenie, śpiewa piosenki. Skąd się wzięło w pani tyle pasji?

Barbara Rybałtowska: Rzeczywiście, straszna ze mnie „pasjonatka”. Skąd się to wzięło? Gdzieś to sobie we mnie drzemie, a jak się obudzi, to porywa mnie bez reszty. Nie wszystkie te moje pasje traktuję serio, chociaż całkowicie im ulegam. Ma się rozumieć, nie robię tego wszystkiego jednocześnie, po prostu, dla higieny psychicznej stosuję „płodozmiany”.

Pisarka

JSG: Napisała Pani przepiękna i wzruszającą VIII-częściową sagę rodzinną, której tematem są wojenne i powojenne losy pani i pani matki: „Bez pożegnania”, „Szkoła pod baobabem” i „Koło graniaste”, „Mea culpa”, „Czas darowany nam”, „Jak to się skończy”, „Co to za czasy”, „Co tu po nas zostanie”.

Kończą się beztraskie wakacje, zaczyna się wojna, ojciec zostaje wywieziony (zginął w Katyniu), a matka wraz z panią zostaje zesłana do gułagu. Podróż z Syberii do Afryki, to temat pierwszej książki z serii „Bez pożegnania”. Píše pani oczami matki, która znalazła w sobie nadludzką

siłę przetrwania. Dla pani, małej wówczas dziewczynki, chciała żyć. Takie przeżycia tworzą niezwykle silny związek. Proszę powiedzieć, dla kogo napisała pani tę wspaniałą, wzruszającą do łez sagę, uczącą optymizmu i woli życia?

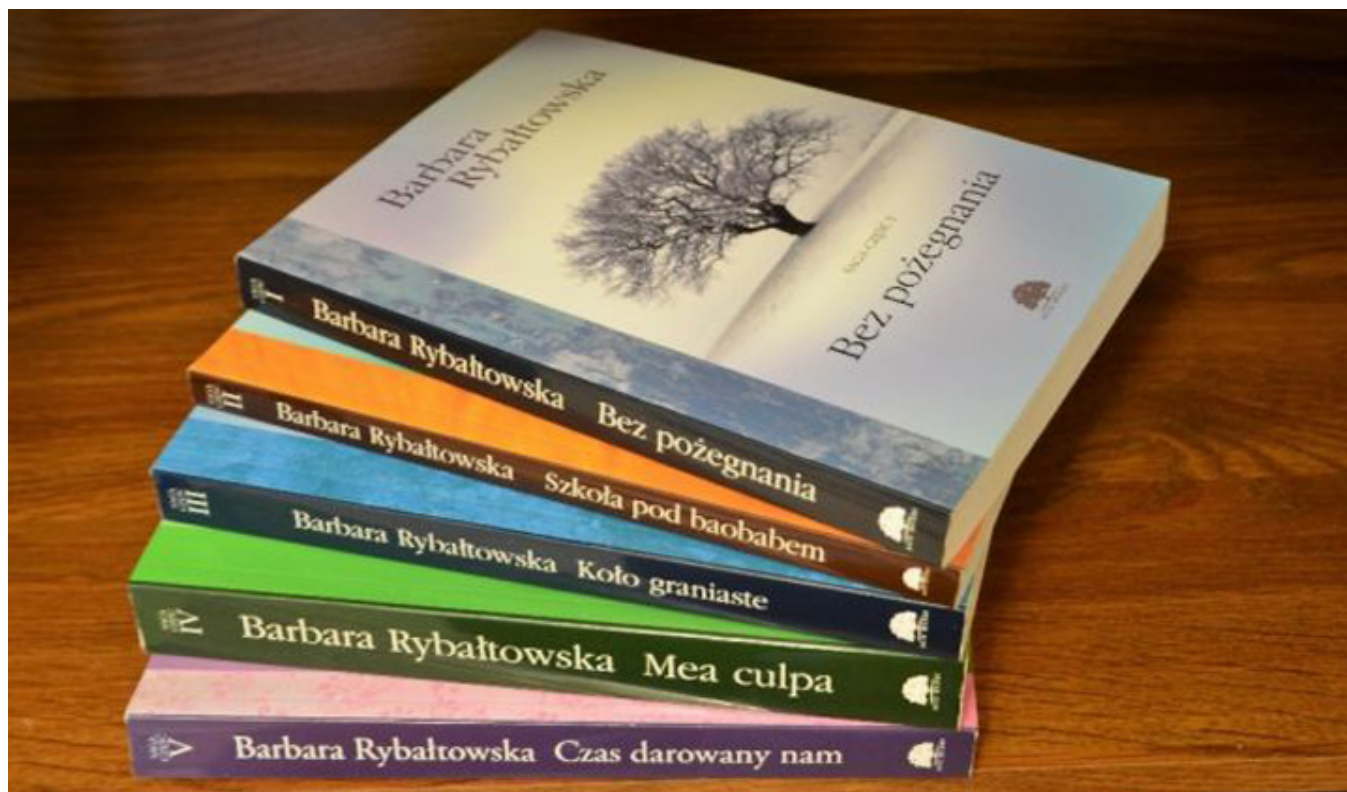
BR: Przede wszystkim, tak jak wynika z dedykacji, dla Mamy, żeby ją uwiecznić. Ale nie tylko, również dla córki i wnuków i w ogóle dla potomnych, dla siebie także. Tak robią wszyscy piszący, to jest potrzeba podzielenia się ze światem swymi przemyśleniami, wątpliwościami, nadzieją. Ta moja saga rodzinna nie jest li tylko historią mojej rodziny. Jest poszerzona o losy innych Polaków, tło historyczne. Czyta ją moje pokolenie, ale też coraz więcej ludzi młodszych.

JSG: Wiem, że kontaktował się z panią reżyser Jerzy Antczak. Czy są jakieś szanse na ekranizację „Bez pożegnania”?

BR: To fakt, że jest wielkim fanem tej książki, ale z różnych względów nie może tego zrobić. Natomiast przeczytanie przez Jadwigę Barańską i Jerzego Antczaka mojej sagi zaowocowało wspaniałą przyjaźnią między nami, którą sobie bardzo cenię. Jurek napisał swoje wspomnienia. Bardzo pożyteczna i mądra lektura, powinna odnieść sukces.

JSG: Pisze Pani też powieści: „Romans w Paryżu”, „Kuszenie losu”. Książki wciągają czytelnika - interesująco prowadzona intryga i zawarte w niej życiowe przesłanie. Skąd Pani bierze pomysły na powieści?

BR: Najpierw rodzi się problem, który mnie nurtuje, potem metoda jaką chciałabym to przekazać, a na końcu wypełnia się to treścią. A ta najczęściej mnie samą zaskakuje. Dlatego właśnie pisanie jest fascynującą przygodą.



Saga rodzinna Barbary Rybałtowskiej.

Biografistka

JSG: Napisała Pani biografie: Barbary Brylskiej, Barbary

Wrzesińskiej, Igi Cembrzyńskiej, Stefana Rachonia oraz Czesława Ciotuszyńskiego, konstruktora statków kosmicznych z USA. Co zafascynowało Panią w tych osobach, że zapragnęła Pani zgłębić ich życie?

BR: Kiedy sięgamy po pióro, żeby pisać czyjąś biografię, na ogół jest to osoba, która porusza wyobraźnię nie tylko piszącego, ale szerszych kręgów ludzi. O Basi Brylskiej pisałam po to, żeby po jej tragedii (*śmierć córki, przyp. JSG*) pomóc się jej podnieść, spojrzeć na to, co było dobre w życiu, zająć ją czymś.

Inne moje bohaterki to też wybitne aktorki. Fascynacja nimi rosła w trakcie pracy nad książką. Biografię pana Ciotuszyńskiego pisałam na jego zamówienie. Moja córka dokonała przekładu na język angielski. W amerykańskiej wersji bohater nie umieścił nazwiska ani tłumaczki, ani nawet autorki – no, cóż... Powiedział mi, że ktoś mu doradził, że tak będzie dla niego lepiej. Nie komentuję...

JSG: Przeprowadzam wywiady z różnymi ludźmi, artystami, naukowcami. Zauważyłam, że każda z tych osób coś mi zostawia, jakąś energię, zdanie, które zapamiętam do końca życia, sposób widzenia świata, sposób odczuwania. Gromadzę sobie taki swój „kufer ze skarbami”. Czy Pani też łączy się emocjonalnie z osobami, o których pani pisze?

BR: Śledzenie czyichś losów zawsze jest pouczające. Łapię się często na tym, że w trakcie pracy następuje taki moment, kiedy się identyfikuję z bohaterami do tego stopnia, że zaczynam im wkładać w usta zdania tkwiące we mnie. Wtedy szybko dokonuję korekty i wracam na ziemię. Zawsze głębsza analiza drugiej osoby jest też inspirująca.

Aktorka-autorka

JSG: Napisała pani monodram pt. „Próba u Poli Negri” i z powodzeniem pani w nim występowała. Proszę powiedzieć, dlaczego zainteresowała się pani tą postacią?

BR: W czasie trwania mego paryskiego śpiewania wśród muzyków francuskich, nie wiem czemu, miałam „ksywę” Pola Negri. Nie przywiązywałam wtedy do tego wagi. Ale dwa lata temu moja koleżanka aktorka poprosiła mnie o napisanie dla niej monodramu z piosenkami o Marlenie Dietrich. Zaczęłam zbierać materiały. W trakcie tej pracy natknęłam się na pamiętniki Poli Negri. Równocześnie - zbiegiem okoliczności - dostałam w prezencie płytę z nagraniami filmowych przebojów Poli Negri. Spodobały mi się i zaczęłam je tłumaczyć, gdyż ona nigdy nie śpiewała po polsku. Pokazałam te przekłady pewnemu wybitnemu reżyserowi, a on nieoczekiwanie powiedział: a czemu ty sobie nie napiszesz dla siebie monodramu o Poli? Pasowałabyś do tego. Roześmiałam się najpierw, a potem zaczęło mnie to nurtować. No i po dwóch miesiącach, sztuka była gotowa.

Łańcuszek dobrej woli, jaki rozpętał się w czasie jej powstawania dobrze wróżył. Wciąż ktoś mi przynosił, a to kolejną książkę o Poli, a to jakiś jej film, a wydział kultury Miasta Stołecznego Warszawy w drodze konkursu pomógł w sfinansowaniu przedsięwzięcia. Premiera odbyła się 16 stycznia 2006 roku w Sali Reprezentacyjnej Zaisu przy komplecie widzów.

Pola miała fascynujące życie. Ja grałam dość wiekową gwiazdę, która szykuje się do recitalu swoich filmowych hitów na balu charytatywnym. Stąd tytuł: „Próba u Poli Negri”. Telefon z Polski skłania ją do refleksji nad całym jej życiem.

Sztuka miała powodzenie, a dla mnie była wspaniałą odskocznią od siedzenia przy komputerze. To takie *katarsis*, żebym nie zardzewiała.



Barbara Rybałtowska na Targach Książki w Warszawie/

Malarka

JSG: Jak to się stało, że zaczęła pani malować?

BR: Malować zaczęłam stosunkowo późno. Moja siostra była

uczennicą Liceum Sztuk Plastycznych, potem studiowała architekturę wnętrz, malowała. Podglądałam ją, nawet nie wie jak jej zazdrościłam. Aż tu kiedyś w Paryżu, gdy śpiewałam w ekskluzywnym kabarecie usytuowanym przy l' Avenue de l'Opera, w oczekiwaniu na mój występ szkicowałam jakieś krajobrazy, portreciki kolegów artystów. Właściciel kabaretu zaglądał w te moje rysunki przez ramię i powiedział:

Właśnie zamierzałem zmienić wystrój kabaretu i wiem, kto robi dekoracje.

- Tak? To dobrze - odrzekłam zdziwiona, że mi się zwierza ze swoich planów.

- Ciebie, Barbara mam na myśli - dodał.

- Mnie? Ja miałabym robić remont?

- Bez przesady! Ale jak już będzie po remoncie, mogłabyś zrobić dekoracje.

- Nie rozumiem.

- Po prostu, kupię farby artystyczne do tynków, drewna i szkła, a ty wymalujesz wszędzie takie obrazki, jakie tu robisz - wszędzie: na ścianach, witrynach i drzwiach.

- Żartujesz...

- Bynajmniej nie. No oczywiście, musisz w tych malowidłach nawiązać do charakteru kabaretu, a poza tym masz wolną rękę.

- Naprawdę dostanę farby i będę mogła malować na szkle, drewnie i ścianach, naprawdę? - niedowierzałam memu szczęściu.

(Działo się to w czasach głębokiego Peerelu, kiedy farby i wszelkie insygnia malarskie były niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Zawodowi plastycy, uczniowie i studenci szkół artystycznych kupowali je w specjalnych sklepach dostępnych tylko dla nich, na jakieś tajemnicze talony, przydziały).

- Farby dostaniesz ode mnie w prezencie, ile zużyjesz, to zużyjesz, reszta twoja, no i oczywiście dostaniesz honorarium - kontynuował mój szef.

Jak powiedział, tak się stało. Za kilka dni, zaopatrzona w palety, pędzle i farby zaczęłam moją zwariowaną przygodę. Po paru tygodniach nastąpiło otwarcie kabaretu w nowej szacie. Było gwarnie, szumnie i tłumnie. Nazajutrz w jednej z paryskich gazet pojawiła się recenzja. Przechowuję ją do dzisiaj: ...*W nowo odrestaurowanym wnętrzu kabaretu snują się błękitnawe dymy, z nich wynurza się Barbara z mikrofonem. Obrazy przywodzące*

na myśl Chagalla, patrzące ze ścian, – ba! nawet z sufitu są wdzięczną oprawą dla rzewnych melodii. Publiczność oklaskuje dziś nie tylko wokalistkę, ale i autorkę dekoracji jedynej w swoim rodzaju – oklaskuje Barbarę...

Najzabawniejsza jest pointa tej mojej przygody. Choć honorarium za dekorację było pokaźne, to niewiele większe od sumy, którą zainkasowałam za pochłapaną farbami deskę, która służyła mi wtedy za paletę. Kupił ją, wprowadzając mnie w osłupienie pewien „galernik” (właściciel galerii sztuki współczesnej), bo uznał ją za interesujące „Tableau moderne”... Nie bez kozery śpiewam więc: *...ja nie artystka – ja szarlatanka!*

JSG: Artyści, ludzie pióra, patrzą na świat wnikliwie i umieją docenić jego wartość. Proszę powiedzieć, co dla Pani w życiu jest najważniejsze?

BR: Moja rodzina – jej spokój, zdrowie i szczęście. Ale też ten piękny i dziwny świat. Chciałabym, żeby było pięknie, spokojnie, żeby był czas na realizowanie marzeń, pomysłów. Zgoda i harmonia, mają dla mnie duże znaczenie i przyroda też. Kocham las, wodę, włości po puszczy Piskiej. Po prostu kocham życie.

Wywiad ukazał się w „Przeglądzie Polskim”, tygodniowym

dodatku kulturalnym „Nowego Dziennika” z Nowego Jorku, 7 marca 2008 r.

Barbara Rybałtowska Pisarka, autorka tekstów, aktorka, malarka – artystka wszechstronna. Pracę artystyczną rozpoczynała w studenckich kabaretach STS-u. Dzięki działalności w Zespole Pieśni i Tańca “Mazowsze” trafiła na estradę i do teatru Syreny. Przekłada wiersze i prozę z języka rosyjskiego i francuskiego. Ma w dorobku powieści: “Bez pożegnania”, “Szkola pod baobabem”, “Koło graniaste”, “Romans w Paryżu”, „Kuszenie losu” oraz poczytne, zbeletryzowane biografie ludzi z kręgu kultury: m.in.: “Barbara Brylska w najtrudniejszej roli”, “Barbara Wrzesińska przed sądem”, “Iga Cembrzyńska sama i w duecie”, oraz “Stefan Rachoń”, „Moc przeznaczenia” (biografia Czesława Ciotuszyńskiego – Polonusa z USA, konstruktora statków kosmicznych).

Komputerowa przyszłość



Joanna Sokołowska-Gwizdka

„The Future is here” – to hasło przewodnie naukowców, których zadaniem jest rozważenie kierunków w rozwoju komputeryzacji.

Komputery coraz bardziej ekspansywnie wchodzą w naszą codzienność. Masowo posługujemy się już internetem. Statystyki wykazują jak wielu przybywa corocznie internautów. Sieć i niezastąpiona maszyna stają się nieodłącznym elementem naszego życia. Szybkość w przekazywaniu informacji w ogromnym stopniu zwiększyła tempo rozwoju niemal wszystkich dostępnych nam dziedzin. Musimy jednak pamiętać o tym, żeby w szalonym wyścigu po coraz to nowsze technologie nie zapomnieć o samym człowieku, o jego wygodzie i komforcie.

Po raz pierwszy czynnikiem ludzkim w informatyce zajęto się podczas konferencji w Gaithersburgu (USA) w 1982 roku. Wtedy pojawiły się pierwsze komputery osobiste, a o kierunku rozwoju nauki zaczęły decydować coraz liczniejsze grupy HCI (*Human Computer Interaction*), zajmujące się połączeniem badań dwóch dziedzin, technicznej i humanistyczno-psychologicznej. Grupy te określają w jaki sposób coraz to nowsze technologie komputerowe mogą być łatwiejsze w praktycznym zastosowaniu przez człowieka. Przeprowadza się w tym celu szczegółowe badania psychologiczne, socjologiczne, etnograficzne, aby precyzyjnie określić potrzeby konkretnych grup ludzi, ich priorytety zawodowe, codzienne potrzeby oraz możliwości. Ustala się potem strukturę komunikacji między człowiekiem a maszyną, co służy do odpowiedniego projektowania interfejsów użytkownika.

Na konferencjach naukowych przedstawia się wciąż nowe projekty zastosowania komputerów w codziennym życiu. Podstawowymi funkcjami maszyny jest w tej chwili komunikacja oraz informowanie użytkownika, odpowiednie do sytuacji, w której w danej chwili się znajduje. Miniaturowe komputery pozbawione tradycyjnej obudowy, umieszczane w przedmiotach codziennego użytku, informują np. podczas jazdy samochodem o pogodzie, w domu o kończących się zapasach w lodówce, a w muzeum przedstawiają wycinek historii sztuki.

Przyszłość rozwoju komputeryzacji idzie w kierunku przyspieszenia komunikacji międzyludzkiej oraz ułatwienia codziennego życia poprzez szeroko pojęte informowanie. Widoczna tendencja do miniaturyzacji systemów komputerowych i umieszczania ich w przedmiotach codziennego użytku, w zegarkach, notesach, a nawet w zabawkach dla dzieci, przybliży świat wirtualny, dzięki czemu życie ma stać się łatwiejsze i wygodniejsze.

Komunikację zrewolucjonizowały też powszechnie używane *smartphony*, którymi posługuje się niemal każdy. Dzięki nim można na bieżąco mieć dostęp do potrzebnych informacji np. o pogodzie, czy dojeździe do określonego celu.

Łatwy i szybki dostęp do informacji niesie też za sobą różne zagrożenia. Urządzenia bez przerwy nas monitorują, określają

nasze położenie, potrafią rozpoznać czy idziemy, biegniemy lub jedziemy. Zbierają dane o naszych preferencjach i upodobaniach. Te informacje mogą służyć do śledzenia nas w każdym momencie życia, do zarzucania nas reklamami i ofertami. Taka jest cena za udogodnienia związane z komunikacją i informacją.

Odkrywanie biologicznych zagadek. Teresa Sokołowska-Rylska.



Teresa (Renia) Sokołowska-Rylska i Karol Wojtyła na KUL-u podczas egzaminu, fot. arch. Floriana i Zofii Śmiejów.

Florian Śmieja

Nie rozstrzygnę już tego pokrewieństwa: moja żona twierdzi, że Teresa Ścibor-Rylska (1912-1985) była jej kuzynką, ale ona sama utrzymywała, że była ciotką.

Teresa Sokołowska-Rylska owdowiała w pierwszych dniach Września, a żołnierski grób męża odwiedzaliśmy z nią kilka razy na zacisznym cmentarzu w Laskach. Teraz ona sama spoczywa obok niego.

W czasie okupacji w Warszawie pracowała jako pielęgniarka, była

kierowniczką laboratorium w fabryce namiastki herbaty. Pod pseudonimem Trembicka wzięła udział w licznych akcjach sabotażowych i szkoliła dziewczęta do pracy pielęgniarskiej i nauczycielskiej.

Po wojnie doktoryzowała się, by ostatecznie zostać kierownikiem katedry botaniki i zakładu biologii na KUL-u w Lublinie.

Została odznaczona Medalem Wojska oraz Złotym Krzyżem Zasługi.

Do przejścia na emeryturę wykladała biologię na KUL-u kolegując z zacnymi kompanami. Pisała o tajemnicach organizacji żywej komórki i o teoriach Teilharda de Chardina. Mnie podarowała na emigrację pomocny bardzo „Słownik ortograficzny języka polskiego”, a starszemu synowi swoją książkę „Porządek i organizacja w przyrodzie” z życzeniami „aby wybrał takie ścieżki biologiczne, na których może spotkać rozwiązanie wielu zagadek, odkrycia tajemnic życia”.

Kiedy przed śmiercią wybrała się do Rzymu, by odwiedzić dawnego Kolegę, zastanawialiśmy się o czym była rozmowa, bo gorącym tematem w Watykanie stały się komórki.

Komputeryzacja



Florian Śmieja

ODA DO ŻYCIA

Już od rana chciałbym zaliczyć sukces
lecz komputer poskąpił dobrych wieści

muszę polegać na sobie w tym względzie
jak często się zaklinam i bezzwłocznie
wymyślić zadanie do wykonania,
stać się samemu sterem i żeglarzem
i pomyśleć, że to nie tylko oda
do młodości lecz do życia całego.

CZEKAM NA WNUKI

Moje pociechy pędzą swoje życie.

Nie mają czasu ani cierpliwości

by mi niekiedy pomóc z komputerem.

Zachciało mi się jeszcze technologii
i nie nadążam już za nowościami
nie rozumiem języka, aplikacje
manipulują bezkarnie, bo w ciemno
i najczęściej klikam na chybił trafił
z przewagą na chybił. Chociaż rozumiem
że w dzisiejszych czasach bez komputera
nie można się obejść, to z awariami
mam więcej do czynienia niż z ich pracą.
Oflagują się, aby nic nie robić
i bądź tu mądry jeśliś nie fachowiec
albo amator oprogramowania.
Skoro nie chcę rozzłościć moich pociech

to ograniczam się do prostych ruchów
płacę frycowe za brak kompetencji
czekam na wnuki, bo będą łaskawsze
i bardziej za pan brat z elektroniką.

PO PRZERWIE

Po kilku jałowych dniach dość nieśmiało
podchodzę do komputera niepewny
czy już się znarowił nieodwracalnie
a jego „*non serviam*” jest ostateczne
i nie ma już od niego odwołania

czy odpocząwszy wznowi swe czynności
przywoła słowa, wezwie inspiracje
i spróbuje nadrobić utracone?

ZUPA Z GWOŹDZIA

Wstałem o świcie, aby się uraczyć
racją świadomego milczenia zanim
rozpoznam dzień i jego możliwości
bo nawet brak poczty na monitorze
nie musi oznaczać zrezygnowania
z ambitnych planów albo zaniechania

zaczętej akcji. Jestem doświadczonym
kucharzem, zrobię zupę na gwoździu.

UTRWALACZ

Pilnie szukam takiego instagramu,
który by zanotował, co uroi
głowa, bo tyle mi gdzieś przepada
między zamysłem a tym, co potem
widzę na stronie. Utrwalacz konieczny
bo bez niego zbyt wiele już straciłem.

ROBOT

Moje wiersze powstają jak na taśmie

i wykazują wszelkie niedoróbki

masowej produkcji czy procederu

zautomatyzowanej wytwórczości.

Myślę teraz jak zastąpić autora

gestią inteligentnego robota.

dysponującego wyszukiwarką

totalną, zdolnego w okamgnieniu

przewertować słowniki i wychwycić

właściwe słowa i z anonimatu

bezszałtnych odmętów wyczarować
karne hufce i zgodne chóry sfer
a z mroków nocy wydobyć na światłość
wyjątkową, niepokalaną perlę.

FAJKA POKOJU

Rozsierzzone niebo zabieliło się
od błyskawic próbujących się na nim
pojawić i najwidoczniej potargać
sieć internetowych powiązań ludzi
szukających zbliżenia i wymiany

myśli i budowniczych wieży Babel

która się wreszcie ziściła i łączy

zwaśnione przedtem obozy, przynajmniej

próbuję, bo bez kontaktu nie będzie

zgody. Internet to fajka pokoju

do tego obywa się bez tytoniu.